

Blair Witch Projekt

4 maja 2014

Antydemokratyczna wizja wojny z radykalnym islamem zaprezentowana przez Tony'ego Blaira współgra z toksyczną retoryką rządu w Londynie. Muzułmanie znów są na celowniku.

Neokonserwatywne jastrzębie powróciły. Toksyczna, szkodliwa mieszanka mesjanistycznej polityki zagranicznej i polowań na czarownice organizowanych na miejscu jest jak bumerang. Albo jak Lenin. Wiecznie żywa. Bushizm z maccartyzmem – neokonserwatywny koktajl, który zaowocował konfliktami w Iraku, Afganistanie, łamaniem podstawowych praw człowieka w Guantanamo i który napędza terroryzm na Bliskim Wschodzie, ponownie został zaserwowany brytyjskiemu społeczeństwu. Tony Blair, niegdyś nadzieja brytyjskiej i światowej lewicy, dziś globalnie rozpoznawany główny rzecznik neokonserwatyzmu, wezwał świat „do walki z radykalnym islamem”. Przypadkowo tyrada byłego premiera zbiegła się w czasie z zaostarzającą się antyislamską retoryką brytyjskiego rządu, dając wrażenie politycznego déjà vu.

ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ, TONY

Podczas swojego wystąpienia w siedzibie Bloomberga w Londynie Blair mówił mniej więcej to samo co przed dekadą. Państwa zachodnie muszą „podnieść kwestię religijnych ekstremistów do rangi najważniejszych problemów”. Radykalny islam „podkopuje możliwość pokojowego współistnienia w dobie globalizacji”. „Destabilizuje społeczności i państwa”. A do tego wiele rządów trwoni fundusze na ochronę i bezpieczeństwo wewnętrzne, jednocześnie kreując warunki dla rozwoju radykalnych grup islamskich.

Były premier Wielkiej Brytanii dorzucił jednak coś nowego. Wezwanie Blaira, aby Zachód solidarnie razem z Rosją i Chinami postawił tamę przed falą „rozlewającego się po świecie

islamskiego fanatyzmu”, wzbudziło zdumienie. Podobnie jak wezwanie do militarnej akcji w Syrii i wyrażenie poparcia dla autorytarnych reżimów na Bliskim Wschodzie. Blair wyraził i jasno sformułował nową ideologię neokonserwatywną.

Przed dekadą ta polityka polegała przede wszystkim na naiwnej wierze w to, że siłowe usunięcie bliskowschodnich dyktatorów wywoła efekt domina i zapoczątkuje proces demokratyczny w całym regionie. Gdy okazało się, że demokratyzacja wyniosła do władzy ugrupowania muzułmańskie, neokonserwatywne jastrzębie uznały, że lepsze są już rządy despotów niż demokratycznie wybranych „radykalnych grup islamskich”. Problem w tym, że ta nowa formuła jest równie prostacka jak wcześniejsza. Wyrasta bowiem z czarno-białego, zero-jedynkowego postrzegania rzeczywistości i przekonania o zderzeniu cywilizacji. McŚwiat kontra McJihad. W tej wizji zarówno świat, jak i muzułmanie dzielą się na dwie grupy. Tych, którzy podzielają liberalne wartości, pluralizm, opowiadają się za neoliberalną polityką ekonomiczną oraz rozdziałem religii od państwa, i pozostałych, odrzucających wszelkie idee „zgniłego Zachodu”. W tym worku znajdują się ci, którzy – podobnie jak wcześniej faszyci i komuniści – chcą siłą narzucić swoje polityczne wizje wszystkim pozostałym. W tej narracji nie ma miejsca na skomplikowane problemy oraz relacje społeczne, kulturowe, ekonomiczne i polityczne zachodzące na Bliskim Wschodzie oraz w społecznościach islamskich rozsianych po całym świecie. Neokonserwatyści nie zadają sobie trudnych pytań, ale jak zwykle dają proste odpowiedzi. I mimo że ich koncepcje zostały kompletnie zdyskredytowane, wciąż powracają.

NIEKOŃCZĄCA SIĘ WOJNA

Dekadę temu krytykom „wojny z terroryzmem” można było skutecznie zamknąć usta. Szok po zamachach w Nowym Jorku, Londynie i Madrycie był olbrzymi. Poczucie zagrożenia realne. Patriotyczne wzmożenie powszechne. W ostateczności tym, którzy wątpili w sensowność i skuteczność militarnych rozwiązań, zarzucano antyamerykanizm, który lobbyści z wpływowych think

tanków przedstawiali jako współczesną formę ukrytego antysemityzmu. Bo wyznawcy amerykańskiej hegemonii, unilateralizmu i polityki siły prezentowali siebie jako obrońców Izraela.

Dziś widać, że tysiące ofiar i biliony wydanych dolarów i funtów niewiele pomogły, a pod wieloma względami poważnie zaszkodziły. Wszystkie arabskie rewolucje, te spontaniczne i te wspomagane przez Zachód, sprowadzały się do rozpędzenia krwawych reżimów i kreowania chaosu oraz politycznej próżni. Strategie stabilizacyjne nie działają. Demokratyzacja nie postępuje. Na Bliskim Wschodzie wciąż wrze i tak naprawdę nie ma dobrego pomysłu na to, co z tym wszystkim robić.

Konsekwencją tej polityki była również erozja praw na Zachodzie. Wprowadzono daleko idące ograniczenia wolności w Stanach Zjednoczonych oraz w Wielkiej Brytanii. Zwiększono możliwości działania służb bezpieczeństwa. W trakcie „wojny z terroryzmem” systematycznie przesuwano granicę tego, co uchodzi za dopuszczalną praktykę w liberalnej demokracji. Padały kolejne tabu: więzienie ludzi bez sądu i bez zarzutów, tortury, zabijanie osób uznanych za terrorystów przy użyciu dronów.

Po dwunastu latach „wojny z terroryzmem” mówienie o zachodnich liberalnych demokracjach jako systemach wcielających w życie prawa człowieka jest już tylko pustym sloganem. Biorąc to wszystko pod uwagę, wydawać by się mogło, że wystąpienie Tony’ego Blaira, który jest europejską twarzą nieskutecznej i wątpliwej moralnie polityki pięści, nie powinno budzić większego zainteresowania. Skompromitowany premier, który dla jednej trzeciej Brytyjczyków jest zbrodniarzem wojennym, wpisuje się jednak w szerszy kontekst. Na Wyspach bowiem znów otwarto sezon polowań na muzułmanów.

BIN LADEN W SZKOLE

W ciągu ostatnich kilku tygodni nastąpiło wyraźne medialne i

polityczne poruszenie w kwestii „islamskich radykałów”. Wywołały je doniesienia o rzekomym spisku o kryptonimie „Operacja Koń Trojański”, polegającym na przejęciu 25 szkół w Birmingham w celu ich islamizacji. Minister edukacji, zatwardziały neokonserwatysta, w sprawie „wojny z terroryzmem” zdecydowanie opowiadający się po stronie jastrzębi, wysłał do miasta armię inspektorów oraz byłego szefa antyterrorystycznego wydziału Scotland Yardu Petera Clarka na polowanie na szkolnych dżihadystów. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że cała afera jest humbugiem. Zamieszanie powstało w wyniku listu wysłanego do sądu pracy przez byłą pracownicę jednej z placówek oświatowych, a oskarżenia w nim zawarte są nieprawdziwe. Chociażby dyrektor szkoły, którego edukacyjni dżihadyści mieli niby zamiar usunąć i zastąpić kimś ze swojego środowiska, przebywa na emeryturze od dwudziestu lat.

Mimo wątpliwej wiarygodności donosu rządowe inspekcje mają także objąć szkoły w Bradford i w Manchesterze. Miejscowi twierdzą, że muzułmanie, zarówno liberalni, jak i konserwatywni, faktycznie próbują się angażować w życie placówek oświatowych, ale nie po to, żeby je „islamizować”, lecz aby podnosić standardy. A niedofinansowane, borykające się z cięciami szkoły publiczne na północy Anglii takiej pomocy bardzo potrzebują.

Medialna wrzawa odstrasza jednak muzułmanów od większego zaangażowania się w obawie przed łatką „ekstremisty”. Taką samą, której dorobił się chociażby Lutfur Rahman, burmistrz londyńskiej gminy Tower Hamlets, przeciwko któremu trwa medialna nagonka w sprawie faworyzowania bangladeskiej społeczności, mimo że policyjne śledztwo nie wykryło żadnych nieprawidłowości. Rządowa inspekcja wciąż trwa. Śledztwem objęto również Bractwo Muzułmańskie, któremu grozi delegalizacja za „terrorystyczną działalność zarówno w kraju, jak i za granicą”. A wszystko to dlatego, że reżimy Arabii Saudyjskiej oraz Egiptu uważają tę najbardziej wpływową

organizację polityczną w świecie arabskim za „śmiertelnie niebezpieczną”.

Wreszcie policja rozpoczyna ogólnokrajową operację, której celem jest „powstrzymanie młodych ludzi przed wstępowaniem w szeregi dżihadystów walczących w Syrii”. Co jest idealnym przykładem na surrealizm brytyjskiej polityki w kwestii „wojny z terroryzmem”. Brytyjscy muzułmanie, którzy zamierzają wysyłać pieniądze lub walczyć po stronie syryjskiego rządu przeciwko rebeliantom z Al Kaidy, są uznawani za „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego”. Ci, którzy brali udział w walkach w Libii w 2011 r. – już nie. Te cyniczne, pełne hipokryzji gry brytyjskiego rządu idealnie symbolizują konserwatywny populizm, który, jak się wydaje, będzie napędzał kampanię do Europarlamentu. Widocznie emigranci z Europy Wschodniej okazali się mało straszni. Na wyobraźnię wyborców mocniej działają „islamscy radykałowie”.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)